

ASPIRIT ANIMALS™

NAPRZECIWIW FALOM



KOVO

Mieszkańcy Stetriolu nazywali to miejsce Mamroczącą Skałą. Wiedzieli jedynie, że leży ono gdzieś w głębi spalonego słońcem, suchego kontynentu. Słyszeli również o rozlegających się tam pomrukach, od których ziemia drżała w promieniu wielu mil.

I znali imię mrocznej, złowroziej istoty, dla której to miejsce było więzieniem.

Przed wszystkim jednak wiedzieli, że każdemu, kto się tam choćby zbliży, grozi śmierć.

Dlatego też od setek lat nikt nie odwiedzał więzienia goryla Kovo. Gdyby nawet znalazł się taki śmiałek, droga do Mamroczącej Skały była niełatwa. Więzienie Kovo znajdowało się pośrodku rozpalonej pustyni w głębi Stetriolu, od najbliższego źródła wody dzieliło je wiele dni marszu. Sama skała była gładka i pozbawiona jakichkolwiek występow umożliwiających wspinaczkę, zupełnie jakby ktoś wyciął każdą ścianę

kamiennego bloku jednym uderzeniem ogromnego ostrza.

Promienie słońca nagrzewały szczyt skały do około stu stopni. Wprawdzie nikt nigdy nie zmierzył tam temperatury, ale nawet jedno dotknięcie rozpalonego podłoża spowodowałoby poparzenie stopy, buta czy łapy każdego, kto spróbowałby tam stanąć.

Klatka wydawała się wyrastać wprost ze skały, a powstała z gęstej sieci rozgałęzień twardych jak diament i na pierwszy rzut oka niezniszczalnych. Gałęzie lśniły oślepiająco czystą bielą, zwłaszcza na wierzchołkach, w których nadal można było rozpoznać kształt olbrzymiego poroża pozostawionego przed wiekami przez łosia Telluna, jedną z Wielkich Bestii.

Nad tym wszystkim, cicho łopocząc skrzydłami, nieustannie krążył wielki orzeł Halawir, dniem i nocą strzegący uwięzionego Kovo.

Goryła nikt więc nie odwiedzał, i to od bardzo, bardzo dawna.

A Kovo mamrotał.

– Najpierw obedrę ich ze skóry – niósł się pomruk przypominający echo gromu w odległych górach. – Gółymi rękami zmiażdżę czaszki, a kości zawinę w te zielone płaszcze. Spalę ich domy, a fortece stratuję na proch.

Spomiędzy gałęzi klatki groźnie spoglądały złowrogie ślepia olbrzymiego goryla o grzbiecie posrebrzonym wiekiem. Grube, czarne futro ciążyło mu w upale.

Klatka była zbyt ciasna, żeby zrobić w niej choćby kilka kroków, dlatego Kovo siedział, snuł rozmyślenia i czekał. Czekał tak od wielu pokoleń. Podczas jego uwięzienia powstały i upadły królestwa i imperia, a Kovo czekał dalej.

Czekał i marzył o zemście.

– Zabiłem cztery z Wielkich Bestii – mówił niewyraźnie. – Kiedy będę wolny, ukarzę ich wyznawców, tych zarozumiałców w zielonych płaszczach. Rozerwę na strzępy ich zwierzoduchy, a ludzkich słabeuszy własnoręcznie pozabijam. Będę okrutny. Niektórych uduszę bez pośpiechu, innych utopię, a jeszcze innych rozdepczę.

Kovo dotknął skórzastą dłonią jednego z rozgałęzień klatki.

W upalnej oddali rozległ się przeszywający krzyk drapieżnego ptaka.

– Już niedługo... Bezwartościowi ludzie... Gdybym był wolny, wszystkie talizmany dawno należałyby do nas. Bylibyśmy królami tego świata, a wszyscy musieliby padać przed nami na twarze.

Kovo prężył potężne mięśnie, napierając na klatkę z poroża.

– Już niedługo... Mój czas nadchodzi. Wkrótce po mnie przyjdą – mamrotał, wpatrując się w niewielką połąć pustyni widoczną z klatki. – Gerathon jest wolna od kilku tygodni. Powolni, podli ludzie... Być może porywowam im palce u stóp...

Raptem uniósł łeb, a jego wielkie nozdrza się porużyły. Powęszył w powietrzu i na jego oblicze wypełził grymas przebiegłego uśmiechu.

– Gerathon – zaburczał. – Nareszcie.

– Rozumiem twoją gorliwość i chęć rozlewu krwi wrogów – odezwał się głos zza pleców goryla. – Ale czekałeś już tak wiele stuleci, że kilka kolejnych tygodni nie powinno chyba robić ci różnicy?

– Będę czekał tak długo, jak trzeba, żeby wprowadzić plan w życie – odparł Kovo. – Stań tak, żebym mógł cię zobaczyć.

W polu jego widzenia znalazł się chłopiec o brązowych włosach. Zatrzymał się kilka kroków od klatki, niemal na skraju urwiska. Był mały i chudy, dopiero co osiągnął wiek, w którym dzieciom podawano Żółć. Jego skórę pokrywały okropne oparzenia słoneczne, a ramiona miał poznaczone długimi, krwawiącymi zadrapaniami. Wydawał się nie zauważać, że spod podeszew jego butów bije dym. Ale być może miało to coś wspólnego z kimś, kto zawładnął chłopcem i patrzył na świat gadzimi, żółtymi oczami o rozszerzonych źrenicach.

– Wybrałaś dziwnie małą istotę – warknął Kovo. – Nadaje się raczej na przekąskę niż na posłańca.

Zerknął na niebo, ale Halawira nigdzie nie było widać. Dobrze się złożyło. Niezwykle czujny strażnik przegapił porę odwiedzin...

– Och, z pewnością zjem go później – powiedział chłopiec. Głos należał do niego, nie do Gerathon, ale

pobrzmiewał w nim syk olbrzymiej kobry. – Sssporo czassu minęło... Czym go sssobie wypełnialeśś?

– Bardzo zabawne – warknął ponownie Kovo, łypiąc ciemnymi oczami spod masywnego czoła. – Przybyłaś tu, żeby się popisywać wolnością?

– Nie – odparła niemal ze współczuciem Gerathon. – Przybyłam po to, żeby ci powiedzieć o naszych sukcesach. Zdobywcy właśnie odebrali Kryształowego Niedźwiedzia tym karłom z Zielonych Płaszcy. Miałam nawet okazję poddać jednego z nich ciekawym torturom umysłowym. Widzisz, jego matka jest jednym z moich stworzeń. Gdybyś tylko mógł zobaczyć minę chłopaka, kiedy próbowała go zabić! Czysta rozkosz.

– Cudownie – burknął Kovo. – Zostaw mnie tu na kolejne stulecia, skoro tak dobrze się bawisz.

– Wkrótce i ty będziesz miał okazję się zabawić – odparła Gerathon, zmuszając chłopca do teatralnego ziewnięcia. – Już prawie mamy wystarczająco dużo talizmanów, żeby cię uwolnić.

– To... prawie dokładnie to, co chcę usłyszeć. – Groźba w głosie Kovo była wręcz wyczuwalna.

– Zaufaj mi – odparła leniwie Gerathon. – Znamy każdy krok Zielonych Płaszcy, mamy swoje sposoby, żeby ich szpiegować. Jak zawsze. Dlatego wiemy, gdzie udaje się teraz Czworo Poległych. Zdobędziemy kolejny talizman, a potem ich zniszczymy.

– A więc jak dotąd ich nie zniszczyliście – zauważył Kovo. – Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego wciąż żyją?

Gerathon machnęła lekceważąco dłonią chłopca.

– Jeszcze ich potrzebuję. My ich potrzebujemy, my i nasz Gadzi Król. Nie obawiaj się jednak, wkrótce wszyscy będą martwi.

Chłopiec wydał z siebie nagły okrzyk bólu i opadł na czworaki. Jego dłonie i kolana natychmiast pokryły pęcherze oparzeń.

– Och, ssskkanie... – zaszczała Gerathon. Głos dobiegający z wykrzywionej bólem twarzy chłopca był dziwnie spokojny. – Ten żaloszny kostium już długo nie pociągnie. Może powinnam przywołać myszołowa i kaźać mu odnieść go z powrotem.

– Ach, więc to w ten sposób udało ci się tu dotrzeć – domyślił się Kovo.

– Właśnie. Znaleźliśmy najmniejszego chłopca i za pomocą Żółci związaliśmy go z ogromnym ptakiem – padła odpowiedź.

Kovo zmrużył oczy i spojrział w niebo, gdzie widać było krążącą skrzydlatą sylwetkę. Po raz pierwszy nie był to Halawir.

Chłopiec osunął się na ziemię, a wtedy powietrze wypełnił swąd płonących włosów.

– No cóż – ciągnęła Gerathon – on zaraz umrze. Jakież to nudne. Wygląda na to, że na razie musimy się pożegnać, Kovo.

– Czekać – warknął goryl i złapał za pręty z poroża. – Jak długo jeszcze będę musiał tu siedzieć?

– Kiedy zobaczymy się następnym razem, oboje będziemy wolni – zasyczała kobra coraz słabszym głosem. Powieki chłopca opadły, życie ulatywało już z jego ciała. – A wówczas... wówczas cała Erdas będzie należeć do nas.